NUMER 50. DNIA 13-go GRUDNIA 1903 ROKU ROK XI.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

HERBERT SPENCER.

Herbert Spencer nie żyje. Był to ostatni z wielkich myślicieli, którzy reprezentowali „wiktorjańską“ epokę umysłowości Anglji. Działał obok Tomasza Carlyle, Ruskina, Johna Stuarta Milla i Darwina i wyjąwszy tego może ostatniego, wywarł największy wpływ na kulturę i cywilizację całego współczesnego świata. Spencer stworzył filozoficzną teorję ewolucji wtenczas, kiedy nauki przyrodnicze rozpoczęły dopiero wyjaśniać fakty rozwoju w nauce bijologji. W czasach zupełnego rozbicia ruchu naukowego, zdołał on uzyskać zdumiewającą wiedzę i znajomość faktów i metody w różnych kierunkach badania i umiał je natchnieniem swego genjuszu uporządkować w jeden wielki system. A największym czynem Spencera jest, że teorję rozwoju uczynił on słońcem swojego systemu. Wszystkie poszczególne części jego filozofji: bijologja, psychologja, socjologja i etyka są zawsze tylko przedstawieniem prawa ewolucji w jej najrozmaitszych objawach.

Myśl, której całe życie poświęcił, stanowi zasadniczy motyw obszernego, 10-tomowego dzieła: „System syntetycznej filozofji“, które rozpoczął w r. 1862, a skończył w r. 1896. Dzieło to, stało się, rzec można źródłem najnowszych poglądów filozoficznych i całej wiedzy. Komentowany na wszystkie strony, wypełnił Spencer umysłem swoim całą najnowszą naukę, a z dzieł jego rozwijała się dalej myśl ludzka i to w najrozmaitszych kierunkach.

Umarł syt chwały i świadomości dokonania wielkich rzeczy. Ostatnią pociechą i zabawą genjalnego umysłu Spencera była muzyka — znaczną część dnia poświęcał na wsłuchiwanie się w tony, które najlepsi wirtuozowie przed nim roztaczali.

Zasnął cicho i nieznacznie największy myśliciel ubiegłego stulecia.

Z SALONU OKRĘŻNEGO.

II.

Wśród obrazów, które chrzci się powszechnie mianem „rodzajowych“ wybija się rozmiarami i tematem płótno pp. Rozwadowskiego i Augustynowicza. Widzimy tu w głębi ogród, na pierwszym planie zaś po prawej stronie obrazu wsparty o płot, stoi młody człowiek, a przed nim duża, gniada klacz i jej źrebię. Dla tych dwóch koni, obraz został namalowanym i one też stanowią najbardziej zajmujący punkt jego. W koniach tych prawie naturalnej wielkości poznać, że p. Rozwadowski zna życie tego zwierzęcia. Klacz - matka, zwrócona korpusem trochę bokiem do widza, ma w podniesionej głowie i oku z poły-

skującem białkiem, bardzo wiele tego specyficznie końskiego zainteresowania się czemś, co dzieje się przed nią. Źrebię natomiast z pochyloną głową, skubiąc sobie obojętnie trawkę, ma dużo charakteru w drewnianości szeroko rozstawionych długich nóg, przegięciu korpusu. Tę samą znajomość zwyczajów i zachowania konia znać i w dalszo planowem źrebięciu stojącem tyłem do widza w tym charakterystycznym ruchu, kiedy to zgina się prawie we dwoje, aby zębami dostać sobie do grzbietu nad ogonem, celem poskrobania się. Są to prawdziwe końskie portrety, traktowane tak dobrze pod względem przejawionej w ruchu psychologji tego zwierzęcia, że każą na pierwszy rzut oka zapominać o takich brakach, jak pewna płaskość i koloryt nie uwzględniający dostatecznie oświetlenia chwilowego, które zaledwie zaznaczonem jest w sinawych refleksach, na lokalnym kolorze gniadej sierści.

Przeciwieństwem niejako do tego są obrazy p. Sichulskiego. Jest to w pewnej mierze, u nas przynajmniej, homo novus, którego obrazy wywołują największą obecnie choć u przeciętnej publiczności ujemną przeważnie sensację. Dlatego należy ją wytłómaczyć. W jego „Krowach", „Koniach" i „Babie w słońcu" charakter ogólny rysunkowy, choć zupełnie dobry, ginie prawie pod wpływem tego, co z tymi przedmiotami wyprawia oświetlenie chwilowe. Osobliwie, gdy na krowy patrzeć zwyczajnie, jak to się patrzy na obrazy, widzi się jakąś masę kleksów różnobarwnych, wśród których najbardziej chwyta za oczy dziwnie powyginana kiełbasa, grubo nałożonej białej farby. Że tam jest krowa to dobrze — powiada widz — ale czemu ma ona ten biały garb? Oto dla tego, że p. Sichulski przeforsowując to, na co patrzył, analizując pędzlem, czyli rozkładając plamy barwne wedle ich natężenia w działaniu na jego własną siatkówkę, nie doprowadził tej analizy do końca, nie wyszukał dla niej wspólnego mianownika; rozumiejąc sam co to wszystko razem tworzy, nie troszczył się już o to, czy pierwszy lepszy widz to zrozumie. Należy więc to zrobić sztucznie, t. j. odejść od obrazu, aż prawie pod przeciwległą ścianę, przymrużyć oczy i wpatrywać się tak przez chwilę, a wówczas te plamy zaczną się łączyć ze sobą logicznie i zobaczy się krowy wśród drzew pogrążone od dołu w głębokim cieniu z oświetlonymi jaskrawo kantami grzbietów.

To samo dzieje się z „Babą w słońcu", w czem dowód forsowanej trochę wzorem impresjonistów, jakby na przekór, ale dobrej analizy kolorystycznej. Że p. Sichulski umie prowadzić ją dalej, dowód w „Koniach", gdzie już nie potrzeba takich sztuk wyrabiać, aby uledz działaniu karminu w głębokich, pełnych powietrza cieniach na tle ściany, przed którą konie stoją profilem do widza. Dzięki temu w tym obrazie widać także lepiej zdolność artysty do wydobywania nietylko tego, jak na widoczną dla oka powierzchnię działa rzeczywistość zewnętrzna, lecz i wewnętrzna, t. j. charakter zwierzęcia. Te konięta spracowane są bardzo dobre w swojej ospałości, stojąc, ciężą widocznie własnym nogom i ziemi, na której stoją. O ileż one lepsze są całe od koni n. p. w obrazie p. Tetmajera, które przy nich wyglądają na lakierowane końskie szematy. W ogóle na cały ten obraz można patrzeć jak chcieć, a zawsze będzie się na nim widzieć tylko po tetmajerowsku pokładzione plastry farby bardzo czerwonej lub bardzo niebieskiej, w których kombinacji dopiero dzięki anekdocie, domyśli się widz rozmaitych przedmiotów. Obrazu tego nie wywołało zainteresowanie się jakimś problematem artystycznym bardziej wewnętrznej lub zewnętrznej natury; jest to dzieło rutyny i nic więcej. Podobnie dziełem rutyny jest także obraz p. Wojciecha Kossaka p. t. „Wiosna 1813 roku", tylko że dzięki potężnym historycznym reminiscencjom, jakie w każdym budzą się na myśl o smutnym końcu napoleońskiej świetności, wrażenie jest daleko silniejsze. Kilku kozaków jedzie brzegiem wykrotu, konie ich płoszą się, a oni sami trwożliwie się żegnają na widok trupów ludzkich i końskich, wyzierających z topniejącego śniegu, który je był w zimie przysypał. Dobre są w tem ruchy kozaków i ich koni, oraz niektóre szczegóły z trupów ludzi i koni na pierwszym planie.

Wracając do młodszych, wymienić należy p. Kuczborskiego, który dał kilka obrazków bardzo dobrych, nie tyle może perfekcją wykonania, ile szczerością i sumiennością w żądzy dania tego, co widział i jak widział tak, żeby to i drudzy widzieli, a bez troski o to, czy się to będzie podobało czy nie. Ważniejszy z obydwu obrazków przedstawia dziewczynkę, profilem do widza wspartą o ścianę chaty, a przed nią krowę tak postawioną, że widz patrzy na nią jakby

z góry, widząc najbliżej szeroki kańciasty tył grzbietu zwężający się w głąb obrazu ku głowie. Problematem artystycznym jest tu zielonowo-siny refleks na grzbiecie krowy padający od ściany, o którą wsparta jest dziewczyna. Drugi przedstawia jakąś panienkę w czerwonej sukni, czytającą książkę w ogrodzie. Tu znowu problematem był cień od kapelusza, w którym tonie głowa, oraz ukryta w cieniu górna połowa lewej strony korpusu. Oba bardzo dobre w charakterze i ruchu świadczą wymownie, iż p. Kuczborski dostrzegł w naturze jakąś osobliwość i chciał pokazać drugim, jakie to w naturze bywają osobliwości, że starał się ją uświadomić sobie po malarsku tzn. sprowadzić do szeregu plam barwnych, któreby potem stały się zrozumiałemi dla widza. Podobnie począł sobie także starszy już malarz p. Żelechowski w swoich „Pokusach", na których w tle ponurego wieczornego pejzażu przedstawił majaczącą w konturach przerażoną dziewczynę, a ponad nią podługowatą głowę demona z czerwonym błyskiem w oku. Ten banalny mitologiczny dodatek jest mniej ważny jako środek uboczny do wytłómaczenia stanu własnej duszy w takiej chwili. Być może, że p. Żelechowskiemu przychodziły na myśl podobne reminiscencje i pomógł sobie niemi w tem, czego w samem odtworzeniu tego, co widział, nie był w stanie wyrazić. Ale i to co mógł jest dość znaczne, bo niebo ma dobry ton grozy, a drzewo i dziewczyna są takie, jak to bywa w nocy, iż trzeba się dobrze wpatrzeć, aby w powszechnem majaczeniu coś rozeznać. Ale gdy się rozezna, to dostrzeże się nawet już dobrze zrobione i subtelniejsze rzeczy, jak ruch dziewczyny, wyrażający dobrze przerażenie.

Reszta rzeczy, któreby można objąć określeniem „rodzajowych" to przeważnie rzeczy niepodociągane, szablony, anekdoty lub wykonania, wedle różnych wzorów. Nazwisk podawać nie wypada ze względu na początkowość artystyczną większości tych autorów. Nie chodzi oczywiście oto, żeby ich nie zniechęcać, bo silne talenty temu nie ulegną, ale ze względu na publiczność, która łatwo nabywa szablonowych uprzedzeń i tworzy z nich etykietki ujemne. Trudno je potem oderwać nawet wówczas, gdy ten lub ów z tych młodych, wyszedłszy z okresu macania, w artystycznych ciemnościach z obcych wpływów trafi na właściwą dla siebie drogę. *St. W.*

H. HEIJERMANS.

SIOSTRY.

Poranek wiosenny. — Ciepłe promienie słoneczne przeglądały przez liście drzew. Zieleń pól szła dokoła, świecąc tu i ówdzie żółtemi plamami piasków. Morze kwiatów zielonych i żółtych, opromienione blaskiem promieni słonecznych.

W oddali stała w przeźroczystem powietrzu smukła, ciemna wieżyca kościoła wiejskiego.

A za nią znowu blask słoneczny, złotymi promieniami jaśniejący.

Śpiewacy wiosny, ukryci w gałązkach drzew świergotem napełniali powietrze i tą melodją głosów swoich, co dźwięczy życiem wiosny i ulatuje ponad drzewami i pod błękitem.

* * *

Szli drogą polną w milczeniu. Jej jasna suknia w czerwone wstążki zdobna, odbijała od brunatnej drogi i cienia drzew. Z pod szerokiego kapelusza rozsypywały się sploty włosów, z którymi igrał wietrzyk wiosenny.

W rękach obracała kwiat, któremu brakło łodygi.

On szedł obok w ciemnym stroju i laską potrącał kamyki, które z łoskotem na bok spadały.

* * *

— Lizo..

— Nie... nie... nic więcej nie mów!

— Ja chciałem...

— Nie, nie Franciszku!

— Czy nie rozumiesz?

— Proszę cię... bądź posłuszny!

On zamilkł.

Cicho szli obok siebie. Monotonny odgłos potrącanych ich stopami kamyków przerywał ciszę.

Gromadka ziemb igrała w trawie, hałasując — sprzeczała się o coś — o jednego robaczka może. Zresztą nic nie mąciło głębokiej ciszy.

Wszędzie rozlewał się ciepły blask słońca.

* * *

Nie daleko we wsi uderzano zwolna w dzwon, którego dźwięk łagodnie rozchodził się w powietrzu.

— Lizo...

— Nie mów, na Boga!..

— Przecież muszę to raz powiedzieć!

Ona oblała się rumieńcem. Kwiat wypadł z jej ręki. Stanęła.

— Franciszku...

— Może się co złego stać...

— Franciszku...

— O Boże... wtedy złamię moje przyrzeczenie!

— Zrobisz nas oboje nieszczęśliwymi, oboje, rozumiesz?

— Posłuchaj więc jeszcze raz, Franciszku... poraz ostatni... nie chcę nic więcej o tem słyszeć... Jak możesz być takim... czy nic o niej nie myślisz? Wczoraj, gdy poraz pierwszy powstała z łóżka, jakaż była blada... jakie sine miała obwódki dokoła oczu... może wolałbyś, gdyby była umarła... gdy złamiesz przyrzeczenie... wtedy... wtedy... następstwa spadną na ciebie... nie czyń tego, Franciszku... proszę cię, ja cię błagam o to!

On popatrzył na nią zadumany.

— Powiedz mi tylko jedno... ale szczerze... nie, patrz mi w oczy przy tem... powiedz mi... ty mię także kochasz, Lizo!

— Nie!

— To nie prawda!

— Nigdy cię nie kochałam!

— Nigdy?

— Nigdy... i nigdy cię nie pokocham. — Wiedział, że kłamała.

Ona czuła, że on jej nie wierzy.

* * *

Droga była teraz węższą, prowadziła w zarośla.

Od czasu do czasu przedzierał się promień słońca przez liście i oświecał ścieżkę.

Szli powoli wśród ciszy otoczenia na wszystko patrząc i nic nie widząc.

W miejscu gdzie ścieżka była najwęższą poruszyła rękami.

Ogarnął ich lęk.

Ponieważ było tak cicho, samotnie i obco, poczęli znowu rozmawiać, drżąc z obawy.

— Gniewasz się, Franciszku.

— Gniewać się... ach.

— Jak tu cicho.

— Tak.

— Przerażająca cisza...

— Tak.

— Dlaczego nic nie mówisz?

Znów poruszyła rękami.

— Boże... nie zamęczaj mnie!

* * *

Teraz podeszła naprzód.

Obok siebie nie mogli iść dłużej.

W gorącym zachwycie gonił wzrokiem za młodem dziewczęciem, upajał się widokiem spadających zwojami włosów, jej smukłej kibici, podziwiał jej małe stopy ujęte obcisłemi bucikami.

Ach, gdyby mógł ją porwać w swe ramiona.

Tutaj gdzie byli sam na sam.

Zupełnie sami.

Ale ona oglądała się trwożnie, gdy on tak milczał.

Naraz począł szybko i z podnieceniem o różnych rzeczach mówić, ale ona nie słuchała.

Odpowiadała, śmiejąc się, na co on znowu nie zważał.

Nie mieli odwagi słuchać swych własnych słów.

* * *

W miejscu gdzie rów się znajdował, droga była szerszą.

Woda w tem miejsca stała. Wczoraj było tu jeszcze sucho.

Niezdecydowana stanęła cicho.

— Czy mam cię przenieść?

— Nie!

— Chcesz się zatem wrócić?

To mówiąc wziął ją, nie pytając dalej w swe ramiona i szedł przez wodę.

Jej głowa znajdowała się obok jego.

Jego usta zbliżyły się do jej ust.

— Franciszku!

Popatrzyła na niego jak zraniona łania.

Zadrżał.

Nie pocałował jej.

Na drugiej stronie wyśliznęła się z jego ramion.

Milcząc, szli dalej.

Sami wśród ciszy.

Na lewo przez liście drzew wyłaniały się czerwone dachy domów wiejskich, ponad nimi wznosiły się w powietrze kręte linje dymu.

Wieża kościelna zdawała się teraz większą.

Na niej błyszczał kogut, jak złoty paw.

Przed nimi ciągnęła się jasna, cicha i gładka ulica wiejska.

* * *

Tamta siedziała na stołku przed drzwiami domostwa, oblana światłem słonecznem.

Jaśniała od szczęścia.

— Tak wcześnie powróciliście ze spaceru?

— Tak jest.

— Czy... sprzeczaliście się?

— Nie.

— Ach gdzież!

Liza pocałowała ją i weszła do domu.

Przyszedłszy do swego pokoju, stanęła zamyślona przy oknie i spoglądała przez otwór spuszczonej żaluzji na rekonwalescentkę.

Potem rzuciła na łóżko parasolkę i rękawiczki, usiadła i zapłakała rzewnie.

Z dołu dochodziły ich głosy.

Położyła na kolanach zaciśnięte dłonie i, szlochając boleśnie, rzekła:

— A jednak gdybyś ty była umarła...

Czy ja wrócę?

Jęskna, smutna moja dola
I śpiew smutnie brzmi,
Nie zorana moja rola —
Do niej tęskno mi.

O, przed laty i ja śniłem —
Złoty to był czas!
W kole z braćmi hen, gwarzyłem —
Wszystko znikło wraz.

Czy się jeszcze ten raj zbudzi,
Jego życia zdrój,
Czy ja wrócę do mych ludzi
Toczyć dalszy bój...

Czy ja wrócę tam do sioła,
Do tych szarych niw,
Gdzie przy pracy brzmi wesoła
Piosnka w czasie żniw.

Gdzie skowronek śpiewa w górze
Ten rolnika druh, —
Biała przędza po ugorze
Dzierzga cudny puch...

Gdzie strumyczek cicho płynie; —
Nad nim kępa brzóz —
A tam dalej — na wiklinie
Śpiewa wdzięcznie kos? —

Czy ja wrócę do mych ludzi
Do tych białych chat,
Czy raj dawny mi się zbudzi?...
— — — — — — — — — —
Smutny mi dziś świat....

Wojciech Zawada
włościanin z Dąbrowicy.

Listy z Irlandji.

II.

Dzierżawca przystępuje do zakupienia swej parceli z wiekowym „głodem ziemi", grozi mu zatem niebezpieczeństwo przepłacenia ziemi, którą otrzyma. Na rynek dzierżawca zjawia się z popytem na ziemię, którą sam wytworzył i wytwarza, a podaż jest zawsze ograniczoną, bo dzierżawca chce zostać tam, gdzie już dziś siedzi. Na to niebezpieczeństwo, grożące dzierżawcy, trzeba znaleźć środek leczniczy. Ale jaki? Czyż gasić pragnienie, które tak długo rozpalało duszę rolnika irlandzkiego? Ale co potrafi je zgasić? I dlaczego gasić to pragnienie, zaspokojenie którego jest nieodzownym warunkiem odrodzenia narodowego?

Jedyny środek zaradczy przeciw oszołomieniu, w jakiem dzierżawca, ziemi łaknący, znaleźć się dziś może, to organizacja. A organizacji takiej dzierżawca nie potrzebuje stwarzać; on ma ją pod ręką. Mianowicie jest nią dawna organizacja

lig ziemskich, organizacja walki dzierżawców z landlordami. Wprawdzie dla parcelacji dawna forma walki jest niepotrzebną, ale zawsze idzie o utrzymanie solidarności między dzierżawcami każdego okręgu, lub nawet każdego kompleksu dóbr większych. Nie zapominajmy bowiem tej okoliczności, że istotnym celem nowego prawa jest uwłaszczenie dzierżawców na ziemiach, na których dziś siedzą, w zamian za czynsz dzierżawny. Dzierżawcy, w znacznej przynajmniej części, nie zmienią dystryktu, a pozostaną na ziemi, którą dziś trzymają. W ten sposób organizacja „Zjednoczonej ligi irlandzkiej“, która do niedawna była bojową organizacją dzierżawców przeciw landlordom, jest najodpowiedniejszem ogniwem dla przyszłych uwłaszczonych właścicieli drobnych.

Sprawa ta jest tak ważną, że wszystko, co żyje w kraju i co rości pretensję do kierowania opinją publiczną, zajmuje się dziś „ceną ziemi“, dając dzierżawcom ostrzeżenia, wykazując im znaczenie bonifikacji i zwracając uwagę na to, by dzierżawcy nie płacili za drogo, by właścicielom nie dali za dużo. Prawie cała prasa irlandzka, posłowie, biskupi krzyczą dzierżawcom słowo: „baczność“.

Wyjątek poniekąd stanowi poseł William O' Brien, twórca i dusza dawnej ligi dzierżawców, któremu jeszcze niedawno dzisiejsi ostrzegacze gwałtowność zbyteczną zarzucali. O' Brien także nalega na konieczność organizacji i solidarności między dzierżawcami, ale zdaniem jego, mniej chodzi o to, co landlord dostanie, aniżeli o to, co ziemia dla dzierżawcy jest wartą. Przedewszystkiem — woła on — wyzyskajmy prawo nasze i stańmy się właścicielami ziemi.

Przeciwnicy O'Briena zwracają wszakże uwagę na to, że jeśli landlordzi za dużo otrzymają, jeśli cena będzie za wysoką, to w następstwie dzierżawcy mogą być w trudności uiszczania się z wykupnego, które będą dłużni skarbowi państwowemu. Wtedy — mówią oni — nastąpi bankructwo kraju!

Na ten zarzut O' Brien odpowiada: przedewszystkiem bierzmy ziemię, wyzyskajmy prawo. Musimy tę odpowiedź O' Briena uzupełnić rozmyślaniami tego posła, których on nie wypowiada: Co znaczy bankructwo kraju? Jeżeli się okaże w przyszłości, że dobrowolne uwłaszczenie przeprowadzone zostało tak, iż dzierżawca uwłaszczony nie jest w stanie uiszczać wykupu, to straci na tem skarb angielski, gdyż każda parcelacja odbywa się pod kontrolą komisarza rządowego. Mówić więc o bankructwie kraju (t. j. Irlandji), to „strachy na Lachy“! Kryzys taki, jakiego się obawiają przeciwnicy O' Briena, ostatecznie podkopałby system rządzenia Irlandją w Anglji i utorowałby tylko drogę zaprowadzenia autonomji.

Drugi argument, którego O' Brien nie wypowiada, to ten, że, wskazując ciągle na korzyści, jakie landlordzi z prawa tylko co uchwalonego wynoszą, i utrudniając zbytnią ostrożnością proces parcelacyjny, tem samem podkopuje się wiarę w całą działalność parlamentarnego stronnictwa irlandzkiego. Argument to atoli błahy, bo nie dzierżawcy dla stronnictwa, ale stronnictwo dla dzierżawców. I jakkolwiek nie wierzymy w ponure proroctwo „bankructwa“, żaden uczciwy polityk-demokrata nie może dla wybawienia stronnictwa z kłopotu chwilowego narażać klasę, której interesów bronić winien, na kryzys, mogący rozprzęgnąć więzy społeczne i podminować siłę moralną klasy właścicieli drobnych.

Różnica wszakże między O' Brien'em a jego przeciwnikami nie jest zasadniczą, a polega tylko na metodzie działania. Jeden podkreśla znaczenie reformy, jeżeli się ona nie rozbije wskutek wygórowanych żądań właścicieli, drudzy powtarzają dzierżawcom z naciskiem słowa: „nie daj się“.

Tak stoi dziś sprawa uwłaszczenia dzierżawców. Ale nie jest to jedyna sprawa, która obchodzi irlandzkie stronnictwo narodowe. Jako stronnictwo demokratyczne broni ono interesów drobnych właścicieli, ale tem bardziej musi pamiętać o robotnikach rolnych, których słońce jeszcze słabiej grzeje, niż innych. I oto stronnictwo narodowe, stronnictwo dzierżawców i przyszłych właścicieli, oręduje dziś sprawę robotnika rolnego, sprawę, która prawdopodobnie za kilka miesięcy zajmie parlament angielski, bo i rząd czuje potrzebę reform. Jak się przedstawia sprawa irlandzkiego robotnika rolnego?

Ilość męskiego robotnika rolnego w Irlandji wynosi 212.183, liczba względnie nie wielka, wynikająca po części z systemu gospodarki, a po części z wielkiej ilości dzierżaw drobnych. W Anglji naprzykład, pomimo, że zaledwie 25% ludności stanowi ludność wiejską, wypada 1 robotnik rolny na 35 akrów ziemi; w Irlandji, w kraju przeważnie rolniczym wypada 1 robotnik

na 70 akrów ziemi. Irlandzki robotnik rolny ma więc daleko większą trudność w znalezieniu zarobku. Ale niedola ta jest spotęgowaną jeszcze przez nieregularność i brak ciągłości w zarobkowaniu, gdyż przeciętnie robotnik rolny jest w przeciągu pięciu miesięcy rocznie bez zajęcia. Dodajmy do tego niską płacę zarobkową. W Anglji robotnik rolny prawie całą swą płacę otrzymuje w pieniądzach i zarabia 17—18 szylingów tygodniowo, w Szkocji przeszło 18, a w Irlandji zaledwie 10 szylingów*), z których tylko połowę otrzymuje w pieniądzach.

W obec takiego położenia robotnik rolny w Irlandji ucieka się do emigracji jako deski zbawienia. Wędruje on do Szkocji, Walji i Anglji, by tam rocznie przez niemal sześć miesięcy znaleźć możność utrzymania, się przy życiu. Jasna, że emigracja ta działa rozkładowo zarówno pod względem polityczno-narodowym jak i pod względem moralnym, tembardziej, że niska płaca, niestałość zajęcia i trudność w znalezieniu takowego nie pozwalają czasowemu emigrantowi utrzymać oszczędności, jeśli takowe porobił, i mieć nadzieję na polepszenie doli.

Ale jak zaradzić temu? Środek zaradczy wynika z innego zła, które trapi irlandzkiego robotnika rolnika. Cierpi on bowiem niesłychanie od kwestji mieszkań. Chata irlandzka jest w literaturze nawet tradycyjnym obrazem nędzy; chata ta nie tylko nie jest mieszkaniem, ale ledwie na nazwę schronienia zasługuje. Ale od chwili wprowadzenia samorządu miejscowego do Irlandji, tak zwane rady hrabstw (t. j. powiatowe rady) i rady nadzorcze nad biednymi postanowiły z urzędu zająć się wystawieniem domków robotniczych — cottages, z których korzystają nawet drobni dzierżawcy. Ilość tych domków, ukończonych lub na ukończeniu będących dochodzi dziś do 24171 — ilość, jak widzimy, zupełnie niedostateczna. Działalność ta wszakże staje się punktem wyjścia dla reformy, mogącej polepszyć stan irlandzkiego robotnika rolnego.

W samej rzeczy powiększenie liczby cottages i zaopatrzenie takowych w grunta bądź orne, bądź sadownicze, oraz utworzenie kredytu dla robotników rolnych da im możność zaopatrzenia się w siłę ekonomiczną, uzdalniającą ich do walki z nędzą a i z wyzyskiem. Reforma taka postawi na nogi niemal że 200.000 rodzin i da społeczeństwu, znękanemu uciskiem wiekowym, podparcie potężne, ułatwiające dalszy rozwój ku lepszemu.

*) Szylling równa się 1 koronie 25 halerzy.

W tym zatem duchu pójdzie prawdopodobnie reforma nowa, którą rząd obiecuje się zająć w najbliższej przyszłości. Czytelnikom „Tygodnia“ zwracamy uwagę na tę okoliczność, że irlandzcy dzierżawcy drobni, których porównać można do naszych gospodarzy włościan, nie tylko o sobie myślą, ale i o tych, którzy pod względem ekonomicznym stoją na niższym od nich szczeblu. Jest to właśnie jedną z największych cnót demokracji, to jest stronnictwa iście ludowego, że kieruje się hasłem: „wszyscy za wszystkich“.

Pod wpływem uchwalonego już prawa o uwłaszczeniu dobrowolnem i w obec nadziei polepszenia doli pracownika bezrolnego utworzyło się towarzystwo do powstrzymania fal emigracyjnych, które rok rocznie dziesiątki tysięcy synów Erinu zabierały, by je wysadzić „przez morza i lądy“ na brzegi więcej gościnne. Erin — wyspa zielona — dziś uśmiecha się nadzieją; te tysiące, które w rozpaczy zwykłe były brać kij żebraczy do rąk, dziś sięgają po szmat ziemi ojczystej.

Pozostaje jeszcze zdobyć swobodę, zdobyć samorząd, ale o tem w następnym liście.

Sygma.

P. S.

William O' Brien, Wilhelm narodu (people's William), — jak go powszechnie w Irlandji nazywają—usuwa się z partji, parlamentu i w ogóle od życia politycznego. O' Brien motywuje swój krok upadkiem karności w irlandzkiem stronnictwie narodowem. Obiega także pogłoska, że John Redmond, dzisiejszy prezydent koła sejmowego w Londynie, pójdzie w ślady O' Brien'a.

Wypadki to poważne, bo znamionują przesilenie w życiu politycznem Erinu. Mamy nadzieję w następnym liście wyjaśnić zarówno zasadę karności i brak karności w ogóle w irlandzkich stronnictwach narodowych, jak i dzisiejsze przesilenie, jakie zdaje się grozić życiu politycznemu wyspy zielonej.

Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

KSIĄŻKI. *Magiera Jan.* W. L. Anczyc jako dramaturg ludowy. (Odbitka ze Sprawozdania gimnazjum św. Jacka w Krakowie). Kraków. 1903. Nakładem autora. 8-ka, kt. nl. 1., str. 27.

Tytuł tej pracy niezupełnie odpowiada treści z tego powodu, że autor odstąpił od niego, dając na wstępie całkowicie zbędny życiorys Anczyca, a nadto mieszając wzmianki o innych utworach, bezwzględnie dalekich od sztuk dramatycznych dla ludu. Gdyby jedno i drugie było zostało opuszczone, jako nienależące do tematu pracy, strona konstrukcyjna rozprawki byłaby zyskała wiele.

Ogółem biorąc, część traktująca o dziełach dramatycznych, skreślonych na tle ludowem, wypadła udatnie. Ocena sztuk Anczyca jest gruntowna, wyczerpująca i sprawiedliwa. Zdałoby się tylko, aby streszczenia były zwięźlejsze.

Ostatni ustęp mówi o znaczeniu utworów Anczyca i jest zupełnie zgodny z poglądem, wyrażonym przez podpisanego w książce p. t. „Pierwiastek ludowy w poezji polskiej XIX wieku“. I tu niech mi będzie wolno uczynić jedną uwagę, która może się kiedyś przydać autorowi, t. j.: aby polemiki w samym tekście unikał, a wypowiadał własne zapatrywania, polemikę zaś dawał do przypisków, jak to jest powszechnie praktykowane. A teraz jeszcze odpowiem na parę zarzutów, jakie autor skierował przeciwko moim zapatrywaniom. Dlaczego pisząc o Anczycu nie wspomniałem ani słowem o „Emigracji chłopskiej“ i o „Kościuszce pod Racławicami“, o tem mogłaby coś powiedzieć cenzura warszawska, bezwątpienia silniejsza odemnie, z którą — niestety — musiałem się liczyć. Co się tyczy znowu zarzutu, żem nie uznał pieśni, jakie Anczyc wprowadził do swoich sztuk ludowych, za stworzone w ludowym tonie, to okoliczność, że się one podobają chłopom, nie dowodzi niczego. Wątpię, czy autor słyszał kiedy pieśni ludowe o tonie tak moralizatorskim, jak u Anczyca.

Dr. St. Zdziarski.

Goszczyński Seweryn. P i s m a... Wydanie kompletne, uzupełnione pismami pośmiertnemi, pod redakcją Zygmunta Wasilewskiego. Tom II. Lwów — Warszawa. Nakładem Towarzystwa wydawniczego. 1904, 8-ka kt. nlb. 3 i str. 340.

Po tomie pierwszym tego dla literatury pożytecznego wydawnictwa, który przyniósł oprócz produktów utworów znanych, także kilka fragmentów poematu „Kościelisko“ oraz drobnych, dziś zapomnianych zupełnie wierszy, ukazał się w kótkim czasie tom drugi. Zawiera on przekład „Pieśni Ossjana“, dokonany przez Goszczyńskiego w r. 1832 w Mikołajowicach pod Tarnowem, a drukowany raz tylko jedyny w lwowskiem wydaniu Pillera z r. 1836. Przedruk to jednak nie wierny, gdyż wydawca, zupełnie słusznie dokonał modyfikacji korektowych i poprawek, jakie poczynił sam Goszczyński na egzemplarzu, znajdującym się obecnie w muzeum Rapperswylskiem. Przekład ten jest ważny nietylko dla samej działalności poetyckiej autora „Sobótki“, ale też do charakterystyki tego ogromnego zajęcia, jakie u nas, podobnie jak w innych krajach, wywołały „Pieśni Ossjana“, tak długo uważane za starożytne, za autentyczne, choć dziś wiadomo, że były one zręcznym falsyfikatem. Życzyćby należało, aby i dalsze tomy „Pism Goszczyńskiego“ ukazały się rychło. *w.*

NOTATKI. *Komisja literacka.* Na ostatniem posiedzeniu Komisji literackiej Ak. umiejętności, sekretarz prof. J. Czubek zdał sprawę z wycieczki do Warszawy, przedsięwziętej w czerwcu b. r. Prelegentowi chodziło głównie o bliższe zaznajomienie się z rękopisami, znajdującymi się w trzech tamtejszych bibljotekach: Zamoyskich, Uniwersyteckiej i Krasińskich. W pierwszej, najbogatszej w rękopisy, wynotował 490 numerów z ogólnej liczby 1750, przyczem bądźto przeglądał wprost same rękopisy, bądźto ograniczał się tylko do korzystania z doskonałego katalogu bibljoteki. W bibljotece uniwersyteckiej przy pomocy dość dobrego katalogu kartkowego zdołał prelegent wynotować 222 numerów z ogólnej liczby około 1.000 rękopisów. W bibljotece ord. Krasińskich, posiadającej około 1.500 rękopisów, praca nad ich zinwentarzowaniem ma się rozpocząć niebawem: dotychczas istnieją tylko skąpe notatki p. Rembowskiego, nie dające należytego wyobrażenia o treści rękopisów; tu przeglądał prelegent 439 numerów. Razem liczba rękopisów, przeglądniętych lub wynotowanych w Warszawie przez prelegenta, wynosi 1.151. Materjał jest ważny i treści różnorodnej, jakto prelegent wykazał na 74 rękopisach, których zawartość dokładniej oznaczył.

Radium — helium. Chemik angielski, sir William Ramsay, zdając niedawno sprawę na posiedzeniu naukowem ze swych doświadczeń z radium, oznajmił, że ten może się w helium przeistoczyć. Gaz wydobywający się z radium przy badaniach widmowych wykazuje z początku linje radium. Widmo gazu, zamkniętego w rurce, zmieniając się, powoli przechodzi w widmo helium. Proces przemiany zaczyna się czwartego dnia, a kończy dwunastego. Jest to *pierwsza obserwacya* wogóle takiego przeistoczenia się jednego pierwiastku w drugi. Przy tej sposobności prof. Ramsay wyraził przypuszczenie, że być może wszystkie pierwiastki podlegają powolnej przemianie, tylko ludzie zbyt krótko żyją, ażeby to obserwować. Ramsay i Soddy czynią obecnie poszukiwania w celu dokładnego oznaczenia ilości helium, mogącej powstać z radium i długości czasu niezbędnego dla tej przemiany.

Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego l. 8.